

Nowy kościół w Zarębach, Czyżew zdobią już trzy domy murowane,
pod Sterdynią kradną na potęgę konie,
pochodzące od Jaćwieży nazwy nadbużańskich miejscowości,
nowy komendant straży w Jasienicy

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Kurpie, litografia Jana Nepomucena Lewickiego (1795-1871)¹.

Czytelnik jednej z gazet donosi, że wprawdzie w Zarębach Kościelnych stanęła pachnąca nowością świątynia, ale parafianie nic sobie z tego nie robią i wielkimi grupami czmychają za ocean.

Nowy, XX wiek rozpoczął się dla Czyżewa nadzwyczaj szczęśliwie, bo mało, że liczba murowanych domów w miasteczku zwiększyła się o 200%, to studnia miejska, o której swego czasu donosiliśmy, że „ma kubel żelazny bez dna, posiada obecnie cały nowy kubel drewniany”.

Po rozpoczęciu niemieckiej ofensywy w lecie 1915 r. stada koni i bydła popędzono na wschód, ogałając Królestwo Polskie z inwentarza. Prowadzący wojnę Niemcy i Austriacy także mieli nienasycone apetyty na każdego konia czy sztukę bydła. Inwentarza boleśnie brakowało, jego ceny poszybowały, a co za tym idzie, w kraju zaroilo się od band, parających się kradieżą tych cennych zwierząt. Plaga nie ominęła okolic Sterdyni, o czym donosi gospodarz Wincenty Kierył. Nie tylko jednak informuje o frasunkach rolników, ale i proponuje środki zaradcze, na tyle przy tym sensowne, że redakcja „Zorzy” rozpoczyna dyskusję zmierzającą do wprowadzenia w życie pomysłów pana Wincentego.

Eugeniusz Kucharski, historyk i teoretyk literatury, próbuje zlokalizować tajemniczą krainę, którą Gall Anonim określił mianem Selencia. W swych poszukiwaniach trafia do naszego regionu, a snując rozważania na temat pochodzenia nazw niektórych miejscowości, wywodzi je od języków używanych przez plemiona jaćwieskie, wymieniając m.in.: wioskę Glina koło Broku, wioski mające w swych nazwach człon Zgleczewo, a leżące obecnie w gminie Zaręby Kościelne i wreszcie Zieleniec koło Sadownego.

Wojewoda białostocki informuje stosowne czynniki, że z powodu pewnych wydarzeń natury prawnej doszło w Jasienicy do zmiany komendanta straży.

Pan Adam dał się tego lata namówić żonie i zgodził się pojechać nad Bałtyk. Jest jednak w wieku słusznym, mieszka w małej miejscowości i jako człowiek rozsądny nie bardzo wie, po co ma spacerować nad morzem, skoro może robić to samo w pobliskim lasku... zresztą za spacerami ogólnie nie przepada.

Żona wynajęła w – jej zdaniem – korzystnej cenie (ta zaś przyprawia pana Adama o ból głowy) przyczepę kempingową na największym polskim półwyspie. Przyczepa stała w trzecim rzędzie od brzegu morza, a małżonka zapewniała, że tam dalej są jeszcze rzędy od czwartego do dziesiątego, więc jest to wielce korzystne, bo dzieliły ich od widoku na morze, tylko dwa rzędy

¹ *Les costumes du peuple polonais*, éd. Leon Zienkiewicz, Paris 1841.

przyczep ustawionych niczym wozy amerykańskich osadników broniących się przed Indianami (znaczy się „rdzennymi Amerykanami”). Dla pana Adama specjalnej różnicy to nie czyni, bo ileż to czasu można poświęcić na gapienie się na powierzchnię akwenu wodnego, choćby i typu słonego? Pięć minut, góra piętnaście... a potem najlepiej pogapić się w telewizor, tyle że akurat tego najpotrzebniejszego cywilizowanemu człowiekowi urządzenia w przyczepie nie było. Wyżej specyfikowana lokalizacja ma dodatkowo tę zaletę, że w przypadku wybuchu jakiegoś wulkanu na Bornholmie lub Gotlandii, trzeci rząd przyczep może zostać oszczędzony przez wielce prawdopodobne tsunami – letnicy z rzędu pierwszego są bez szans na przeżycie.

Poza „niską” ceną (planujący remont pan Adam mógłby w cenie jednodniowego pobytu nabyć 10-litrowy baniak wyśmienitej farby), prawie widokiem na akwen i ochroną przed tsunami, kolejną zaletą miał być ulokowany w przyczepie własny aneks kuchenny. Małżonka zachwalała, iż dzięki temu udogodnieniu zaoszczędzą na wyżywieniu. To rzecz jasna panu Adamowi nie odpowiadało, bo akurat na jedzeniu to oszczędzać nie lubi. Aneks okazał się klaustrofobicznym kącikiem, w którym jedna osoba miała wielkie problemy, by obrócić się wokół własnej osi, a pochylenie się było zupełnie niemożliwe. Jaki jest zresztą sens wydawania fortuny na wakacje, po to, by samemu gotować?

Pierwsza noc była koszmarem. Pan Adam nie mógł zmrużyć oka, a to z powodu brewerii szalejącej hordy pijanych studentów, a nie mniej dokuczliwe były rozwrzeszczane dzieciaki. Całkowite przeciwieństwo spokoju w domowych pieleszach, bo przecież dzieci odchowali, mają spokojnych, statecznych sąsiadów, mieszkają na cichej, ślepej ulicy, więc gdy zapadnie zmrok, to cisza wręcz w uszach dźwięczy.

Zaczynało świtać, gdy alkohol zmógł nawet studentów o najtwardszych głowach, a nasz czytelnik mógł wreszcie się zdrzemnąć. Zbawienna drzemka trwała około pięciu minut, bo rozległ się dźwięk budzika. Żona kazała wstawać i natychmiast ruszać na plażę, by rozstawić parawan i tym samym zaanektować ich własny kawałek polskiego wybrzeża. Małżonka twierdziła, że nie ma chwili do stracenia i wysłała naszego korespondenta celem dokonania inwazji na plażę, na głodniaka, bez śniadania. Miała na swój sposób rację. Po pokonaniu dwóch linii kempingowych szańców dotarł na wielkie pole pokryte piaskiem, choć trudno było dostrzec piasek, bo wszystko pokrywało mrowie parawanów, pilnowanych przez podobnych mu nieboraczków oraz anormalnie rozrośniętych osiłeków. Z trudem znalazł kilka wolnych placyków o wielkości znaczka paczkowego, ale z każdego został odpędzony, gdyż władcy sąsiednich parawanów oświadczały gromkimi okrzykami, że to miejsce jest już zarezerwowane dla ich przyjaciół albo rodziny.

Szczęściem w nieszczęściu okazało się, że pijani studenci nie dali się pokonać używkom, ale po prostu przenieśli się na plażę. Amatorzy parawaningu uważali najwidoczniej sąsiedztwo ekstremalnie zrelaksowanych żaków za wyjątkowo nieatrakcyjną lokalizację, więc tylko obszar w promieniu kilkunastu metrów od ogarniętej rodzajem amoku grupki (nasz korespondent z rozrzewnieniem począł wspominać lata studenckie) pozostawał wciąż wolny. Pan Adam począł rozmyślać, czy warto tam rozbić słodkie małżeńskie gniazdko, ale wtem z przerażeniem odkrył, że inni nie rozmyślają, lecz wprowadzają jego plan w życie. Puścił się zatem pędem w kierunku grupki i po krótkiej przepychance zdołał wywalczyć kawałek areału, choć w bezpośredniej bliskości nieco już śniętej, rozrywkowej gromadki.

Niewyspany, głodny, a po wczorajszej długiej podróży śmiertelnie zmęczony musiał prezentować się wyjątkowo marnie. Na szczęście, okazało się kontynuatorzy sarmackich,

alkoholowych tradycji byli studentami i studentkami medycyny. Akurat te studia stoją w Polsce na niezłym poziomie, więc natychmiast rozpoznali terminalny stan naszego czytelnika i zaproponowali pomoc w rozstawieniu parawanu oraz plastikowy kubek zdrowotnego eliksiru. Po trzecim kubku, kłopotliwe podług innych sąsiedztwo zaczęło się panu Adamowi podobać, a po czwartym zrodziła się w nim myśl, że wakacje mają głęboki, choć ukryty sens, po piątym... piątego nie było, gdyż nadeszła żona. Czar prysł, z jej oczu sypały się iskry, a z ust wydobył się syk, oznaczający dezaprobatę dla wyboru miejsca i stopnia relaksacji męża.

Przyniesione przez małżonkę kanapki, wpadły w piasek, ale głodnemu chrzęst w zębach nie przeszkadza w konsumpcji. Powoli zaczynały się schodzić inne małżonki wraz z pociechami. Zapanował hałas, przekrzykiwania, bieganie, obsypywanie piaskiem, totalny, trudny do opisanego harmider, a tymczasem eliksir przestał wykazywać swe zbawcze działanie, co oznaczało, że panu Adamowi ponownie przestały podobać się wywczasy. Oświadczył małżonce, że ma coś poważnego „do załatwienia” (redakcja jest na tyle kulturalna, że nie precyzuje co takiego) i oddalił się, ponoć tylko na chwilkę. Chciał, czy nie chciał to, jak każdego prawdziwego Polaka, nogi zaprowadziły go same do najbliższego baru. Tam wypił kilka chłodzących napojów (planujący remont pan Adam, mógłby w cenie jednego nabyć metr kwadratowy płytek łazienkowych), później zaś zdecydował się na zamówienie smażonej bałtyckiej pangii (nie wierzył, że w okresie ochronnym zaserwują mu świeżego dorsza). Widząc rachunek, dostał pan Adam lekkiej palpacji serca (planujący remont pan Adam, mógłby za pieniądze wydane na rybkę, stać się właścicielem myjki ciśnieniowej i to takiej firmowej, o całkiem niezłych osiągnięciach).

Noc przebiegła mniej więcej tak samo, jak poprzednia, czyli pośród wrzasków dzieci i porykiwań pijanych studentów oraz nie zawsze przyjemnych aromatów dochodzących z aneksów kuchennych i wszędzie porozstawianych grilli. Pewnym urozmaicheniem był wybuch butli gazowej w jednej z przyczep, ale na szczęście nieco oddalonej, bo siedmiorzędowej. Żona nie pozwoliła naszemu korespondentowi nawet zmrużyć oko, bo wyekspediowała go na plażę jeszcze po ciemaku, tak by zdobył upragnione miejsce typu *de Luxe*, czyli tuż nad brzegiem morza, co oczywiście, okazało się niemożliwe, gdyż lokalizacje tego akurat typu są non stop okupowane. Z coraz większą trudnością przychodziło mu wymyślanie pretekstów dla wymknięcia się z plaży celem wprowadzenia do organizmu elementu bajkowego, zwłaszcza że ów element i inne koszty wymarzonego wyjazdu powodowały gwałtowne topnienie salda bankowego – po prostu koszmarnie.

Małżonka także nie do końca była zadowolona z kilkunastu dni spędzonych nad Bałtykiem, choć w pogaduchach z przyjaciółkami zapewniała, że było wspaniale. Efektem niepełnej satysfakcji była zmiana koncepcji następnych wakacji. Żona zaproponowała (a raczej zarządziła), że te następne spędzą w namiocie nad jeziorem. Namiot źle się panu Adamowi kojarzy, bo z wilgotnym śpiworem, materacem, z którego uszło powietrze, skutkiem czego rano można policzyć na plecach wszystkie rosnące poniżej korzenie, bólem, ciasnotą, komarami, robakami, dochodzącymi z lasu straszliwymi odgłosami, zbitą z desek wygodką i innymi trudnymi do zliczenia plagami. Tak było w młodości i do dziś nie może wybaczyć rodzicom, wysłania na obóz harcerski pod namiot. Widzi wprawdzie w telewizji, wielu ludzi obozujących w namiotach w Sudanie czy w Strefie Gazy, ale wątpi, aby czerpali z tego przyjemność – marzą raczej, o przeniesieniu się na stałe do domostwa w rodzaju tego pana Adama. Po cóż więc miałby wybrać się pod namiot? Toż to masochizm w najczystszej postaci! Jak rozniecić w żonie tę marnie, bo marnie, ale zapewne tłącą się gdzieś głęboko iskierkę rozsądku?

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 38 z 12 maja 1900 r.]

Zaręby Kościelne (pow. ostrowski). W dniu 8 maja odbyło się tu poświęcenie kościoła, który został świeżo zbudowany na miejscu spalonego w r. 1881. Aktu poświęcenia dopełnił z upoważnienia zwierzchności duchownej proboszcz miejscowy ks. Florian Szroda przy licznych udziale duchownych i parafian. Kazanie wypowiedział ks. Antoni Lipowski, proboszcz zuzelski. Wewnątrz, kościół jeszcze niezupełnie ukończony, brak organów, chorągwi itd.

W tym dniu gromada tutejszych włościan złożona z 40 osób, wyruszyła do Ameryki, zaciągnięta tam przez ajenta, byłego właściciela ukrytej gorzelni.

Zasiewy i oziminy nie przedstawiają się tu dobrze. Wielu gospodarzy zaorało zasiewy zimowe, posiaawszy na ich miejsce wykę. Ceny zboża podnoszą się, kartofle, główne pożywienie tutejszej ludności wciąż drożeją. Płacimy obecnie 2 ruble 40 kopiejek za korzec. Przednówek bardzo ciężki, a i przyszłość niedobrze się zapowiada.

Nadbużanin

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 27 z 3 kwietnia 1901 r.]

Czyżew. Gród tutejszy może się pochłubić, że pod dobrą gwiazdą rozpoczął wiek nowy. Do istniejącego jedynego murowanego domu, przybyły jeszcze dwa: przy rynku i dla służby kościelnej, obydwa domy prezentują się pięknie. Gdyby nie sklepy, a raczej budy stojące w środku rynku dwoma rzędami, to wiele na tym zyskałaby piękność miasta.

Do tego dodać jeszcze należy, że studnia, o której pisano, że ma kubel żelazny bez dna, posiada obecnie cały nowy kubel drewniany. Juźci lepszy cały drewniany jak żelazny a dziurawy.

Sklep chrześcijański (unikat), własność p. Płacheckiego, znajdujący się przy rynku, trzyma się wcale dobrze, ale wobec krótkiej pamięci niektórych osób może upaść ku wielkiej radości konkurentów, którym nie pod rękę, że ktoś inny odważył się być kupcem z miarą i wagą rzetelną.

Herbaciarnia tutejsza, pomimo dogodnego i czysto utrzymywanego lokalu, gości ma stosunkowo niewielu. Za to traktiernia [jadłodajnia z wyszynkiem] kosztowna cieszy się większymi względami ogółu. Był tu podobny zakład chrześcijański, ale w czasie pożaru przed dwoma laty, właściciel, poniósłszy duże straty, musiał go zamknąć.

Lelek

W SPRAWIE KRADZIEŻY KONI I BYDŁA

Coraz częściej daje się słyszeć o kradzieżach koni i krów, popełnianych przez bandy złodziejów w różnych okolicach kraju naszego. Czytelnicy nasi mogą przekonać się o tym już choćby z ogłoszeń o kradzieżach, które od pewnego czasu są nadsyłane do Redakcji.

Wobec obecnego braku inwentarza i jego drożyzny sprawa ta nabiera dla rolników wielkiego znaczenia, a grozi poważnie zwłaszcza drobnym rolnikom. W tej sprawie otrzymaliśmy od jednego z Czytelników naszych następujący list:

Do Redakcji Zorzy!

W niektórych powiatach naszego Królestwa w ostatnich czasach rozwieliła się w sposób zatrważający kradzież bydła i koni. Jeżeli zwrócimy uwagę na teraźniejszą drożyzną koni i bydła, jeżeli zastanowimy się nad tym, że za 600 rubli prawie nie można wozu zaprząć, a że dojna krowa kosztuje dziś 700 rubli, to zrozumiemy, jaką klęskę sprowadzają na gospodarstwa nasze te coraz częstsze kradzieże. Toć, gdy komu złodzieje ukradną konia lub krowę – co się ciągle zdarza – to go zniszczą do szcztu i taki gospodarz już upadł w swym gospodarstwie – długie przejdą czasy, nim się on zdobędzie na kupno nowego konia czy krowy.

Wobec tego poruszam myśl, czy by się nie dało założyć towarzystwa ubezpieczeń koni i bydła od kradzieży i wypadków nieszczęśliwych. Wszystkie ubezpieczone za stosowną opłatą zwierzęta powinny być zapisane i dostać swój numer wypalony na kopytach i wypieczony na udzie. Ja na przykład mieszkam w stronach siedleckich. Otóż jeżeli przypuszczam, będę poszkodowany na koniu, a jeżeli ten mój koń będzie ubezpieczony i będzie miał numer wryty, to go będzie można odnaleźć choćby i w kaliskiej ziemi.

Gdyby się takie Towarzystwo miało zawiązać, to bym rad być na jego organizacyjnym zebraniu i swój projekt dokładnie przedstawić.

Bo dziś grasuje po kraju banda opryszków – jedni kradną, a drudzy niby to „znajdują” i za to sute nagrody pobierają.

Wincenty Kierył z Dziecioł (gm. Sterdyń, pow. sokołowski)

[Uwagi redakcji „Zorzy” do listu Wincentego Kieryła]

List powyższy porusza sprawę bardzo pilną i ważną dla rolników. W czasach obecnych ma ona znaczenie wyjątkowe z powodu drożyzny i braku inwentarza. Ale i po wojnie przecie, kiedy powrócą zwykłe warunki, trzeba będzie bronić swego dobytku przed złymi ludźmi i tępić złodziejstwo, i nieuczciwość ludzką, co jest tak samo ważne. Dlatego byłoby bardzo pożądanym, żeby czytelnicy nasi przysyłali nam listy z przedstawieniem, co myślą o tej sprawie, jak radziliby zaradzić złu i zwłaszcza, jakie jest ich zdanie o projekcie p. W. Kieryła.

Redakcja „Zorzy” zwraca uwagę, że kradzieżom inwentarza można w znacznej części zapobiec przez dobre urządzenie przez sołtysów nocnych straży po wsiach oraz że złodziejstwo w ogóle

najlepiej wykorzenia oświata, dobre wychowanie i uszlachetnienie całego narodu. Nad tym więc przede wszystkim pracujmy. Ale oprócz tego nie można zaniedbywać tego wszystkiego, co służy do obrony przed złymi ludźmi, do wykrywania i karania przestępstw oraz do obrony swego dobytku. Dlatego nad sprawą poruszoną przez p. Kieryła należy nam zastanowić się. Myśl zapisywania i znaczenia koni i bydła oraz ich ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, uważamy za bardzo dobrą. Najlepiej by było, gdyby takie stowarzyszenia obejmowały gminę, czy kilka wsi sąsiednich, gdyż utworzenie towarzystwa ubezpieczeniowego na całe Królestwo, byłoby obecnie bardzo trudne. Dodajmy, że za granicą istnieją tego rodzaju towarzystwa.

[„Kwartalnik Historyczny”, T. 40 z 1926 r., s. 145-150]

CO OZNACZA „SELENCIA” W KRONICE GALLA-ANONIMA? [fragmenty]

Umiejscowienie tej nazwy jest przez to utrudnione, że poza kroniką tzw. Galla nie spotykamy jej postaci łacińskiej w źródłach współczesnych, prócz powtórzeń późniejszych. W znakomitym komentarzu, którym Roman Grodecki zaopatrzył swoje, nie tylko rzeczowo doskonale, ale i pod względem literackim prawdziwie wzorowe tłumaczenie „Kroniki”, uczony badacz wyraził przypuszczenie, że „Selencia” może oznaczać część Pomorza lub kraj Lutyków. [...] Gorliwości religijnej autora [Galla Anonima] należy zapewne przypisać, że zabiegi wokół władców Polski około utwierdzenia kościoła na Pomorzu, rozciąga także na dwa inne, łącznie wymienione kraje. Poza tym można przyjąć, że podane informacje odnoszą się do wszystkich trzech krajów łącznie. Wszystkie trzy są więc: 1) krajami uparcie trwającymi w pogaństwie; 2) odnoszą się wrogo do władców Polski i 3) graniczą z Polską od północy („od strony morza północnego”). Zwraca uwagę, że w liczbie tych „ludów barbarzyńskich” brak jednego, dobrze znanego z dziejów, do którego wszystkie trzy określenia powyższe odnieść można. Tym ludem – pogańskim, walczącym z Polską i graniczącym od strony północnej – była Jaćwież.

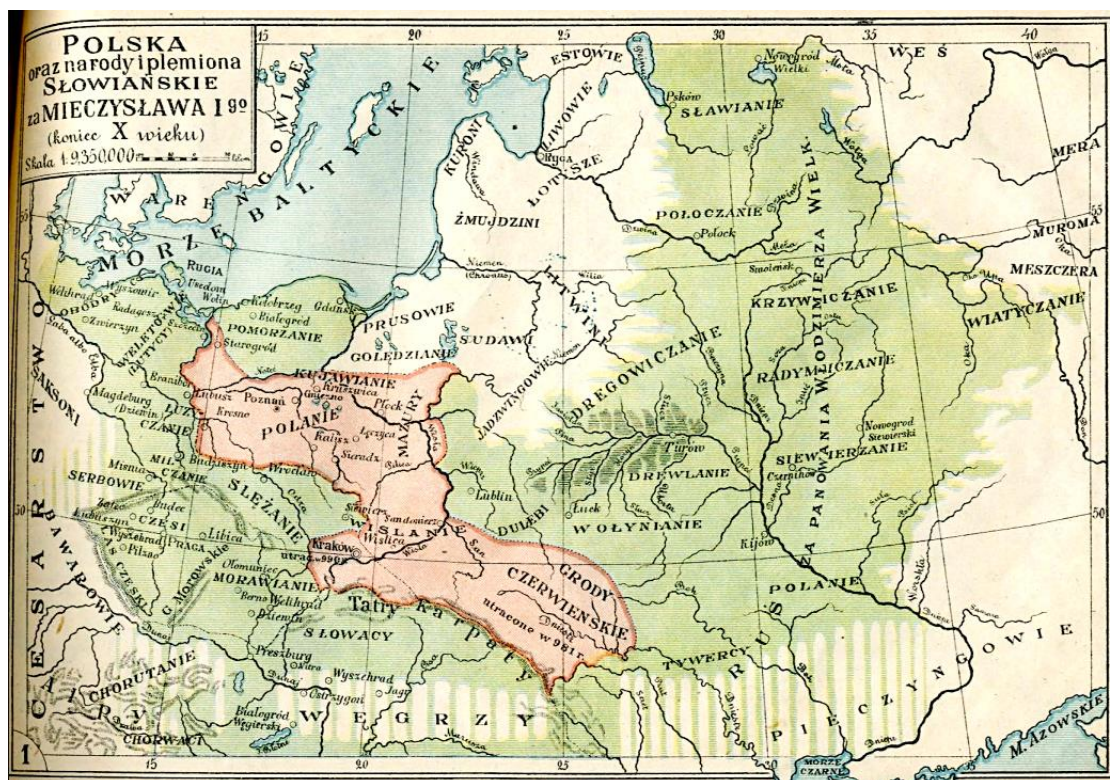
Nasuwa się więc pytanie, czy zagadkowa nazwa „Selencia” nie odnosi się do krainy jaćwieskiej. Pytanie tym bardziej uzasadnione, że wyłączwszy Selencję, nie znajdziemy u autora jakiegokolwiek wzmianki o Jaćwingach. Przy negatywnym rozwiązaniu zagadnienia trzeba, by więc sądzić bądź to o słabej u informatorów Anonima znajomości stosunków sąsiedzkich Polski, bądź też (w co jeszcze trudniej uwierzyć) przypuścić, że z początkiem XIII wieku nie rozróżniano jeszcze u nas wśród pruskiej grupy etnicznej szczepów poszczególnych, lecz ogólnikową nazwą „Prus” obejmowano plemiona, znane ówczesnie jako szczepy odrębne (Prusacy właściwi i Sudawo-Jaćwingowie)⁽¹⁾.

Jakkolwiek względy rzeczowe przemawiają za podobną identyfikacją nazwy, faktem pozostaje niewątpliwym, że możliwe nazwanie Jaćwieży Selencją jest wyjątkowe i osobliwe. Ażeby z tej osobliwości zdać sobie sprawę, należy przypomnieć, że od czasu zegnania Bolesława Śmiałego i trzeciej z rzędu, a na parę wieków ostatecznej utraty ziem wschodnich i Brześcia, granica Polski na średnim Bugu cofnęła się poważnie na zachód. Wskutek tego Polska utraciła na znacznym odcinku styczność z południowym (podlaskim) odłamek Jaćwieży, siedzącej

między Bugiem a Puszczą Białowieską. Stykała się natomiast nadal, aż do ostatecznej zagłady Jaćwingów, z ich odłamem zachodnio-północnym, siedzącym w dorzeczu Narwi, a zaliczanym dzisiaj do gałęzi sudawskiej. Trzeba się więc liczyć z możliwością, która powtarza się stale w imieniodawstwie narodowym, a polega na tym, że szczegółowe nazwanie pobliskiej ziemi pogranicznej lub plemienia przenosi się na cały zespół etniczny, do którego owo plemię lub ziemia należy. Zachodzi więc pytanie, jak nazywała się ziemia jaćwieska z dorzecza Narwi, z którą Polska ówczesna przede wszystkim graniczyła i wchodziła w zatargi graniczne.

Niemiecko-łacińską nazwę wymienia kronika krzyżacka Piotra de Dusburg, opisująca pod r. 1280 najazd krzyżacki na jedną z ziem sudawskich. Ustęp ten nosi tytuł „De vastacione territorii Sudowię, dicti Silię (wariant: Seliae) et secunda captivitate fratris Lodevici”. [...] Jest to więc jedno z terytoriów sudawskich. W niemieckiej wierszowanej kronice „Kronike der Pruzinlant” Mikołaja von Jeroschin jest ono nazwane „das Gebit zu Silien”^(II). Duńska „Liber censuum” z połowy XIII w. przy opisie ziem pruskich wymienia także „Syllonis in Zudua”^(III).

Zarówno wersja duńska, jak i krzyżacka uprawniałyby do przypuszczenia, że rodzima nazwa jaćwieska pozostawała w związku z pruskim wyrazem sylo „die Heide” [niem., bory, torfowiska, np. *Tucheier Heide* – Bory Tucholskie]. Byłby to jednak wniosek z błędnych przesłanek wysnuty, albowiem żadna z wersji niemieckich, a za nimi i duńska nie daje właściwego pnia nazwy. Brzmienie poprawna przechowuje do dzisiaj nazwa rzeki, która wypływa w pow. mazowieckim pod wsią Jabłoń Kościelna, uchodzi do Narwi z lewego brzegu poniżej Tykocina, a zwie się Slina [ob. Ślina] lub (za Słownikiem Geograficznym X, 764) Selina.



Polska, narody i plemiona słowiańskie i bałtyckie w końcu X wieku².

² Józef Michał Bazewicz, *Atlas historyczny Polski*, Warszawa : nakładem autora, 1918.

J. Gerullis, objaśniając analogiczną pruską nazwę (z Warmii) zapisaną w r. 1249 jako Slinia, nawiązuje ją do lit. *šlŷna* i przypuszcza, że w narzeczu jaćwieskim wymawiano *zlina*, pol. „glina”. Polskie nazwy z pnia glin- będące, jak to się zwyczajnie w osadnictwie dzieje, bądź to tłumaczeniem pierwotnych nazw tubylczych, bądź też niezależnym stwierdzeniem niezmiennych cech charakterystycznych ziemi, spotykamy bardzo często na dawnym terytorium Jaćwieży północno-zachodniej. Należy tutaj: Glina, wieś na prawym brzegu Bugu na wschód od Broku; Gliniki, wieś na północ od Brańska; Glinki, wieś na północ od Różana; Glinki, wieś pod pruską granicą, między Kolnem a Szczuczynem; Glinki, wieś na zachód od Radziłowa; Gliniszki, wieś na południe od Augustowa; Gliniszcz Młode i Stare na północ od Sokółki. Ta część Jaćwieży nosiła więc w swym ojczystym języku nazwę urobioną od pnia *slin-* (*zlin-*), a znaczącą tyle, co Glińcy lub Glinianie.

Do objaśnienia nazwy z *Kroniki Polskiej* ważnym jest, jak tę ziemię nazywali Słowianie sąsiedni. Polskiego przekazu poza latynizacją Galla Anonima nie znamy, ale w brzmieniu ruskim z XIII wieku zapisano zarówno nazwę ziemi, jak i jej mieszkańców. Latopis Ipacki w opisie wyprawy Włodzimierza Wasylkowicza na Jaćwież pod r. 1273 nazywa tę ziemię *Zlina* („wziasza Zlinu”). Nazwę mieszkańców podaje wcześniejszy opis wyprawy ks. Daniły, zapisany pod r. 1256 (6764). Kronikarz sławi księcia: „jako w selicie (w tylutkiej) drużynie pobiediw gordyje [zwyciężył hardych] Jatwiazie i Zlińci i Krismencie i Pokiencie”^(IV). Są tutaj wyliczone trzy (zdaje się, że wszystkie trzy plemiona), które wśród Jaćwieży wyróżniano, w ich liczbie mieszkańcy *Zliny*, *Zlińci*.

Ponieważ kroniki ruskie znają Jaćwież i jej imię już od czasu swego powstania tj. od XI wieku, a nazwa „Zlińci” pojawia się w nich dość późno, bo dopiero w epoce wspólnych wypraw polsko-ruskich przeciw temu ludowi^(V), nasuwa to przypuszczenie, że szczegółową nazwę „Zlińci” przyjęli Rusini od Polaków, podobnie jak Polacy od Rusi dopiero przyswoili sobie ogólne nazwanie „Jaćwież” i „Jaćwięgowie”. Ostatnie przypuszczenie można poprzeć tym, że mimo trzywiekowej bliskości walki z tym szczepem nie spotykamy na rdzennie polskim obszarze językowym ani jednej nazwy miejscowej, urobionej od „Jaćwież” lub „Jaćwięg”, Osady, tworzone z jeńców jaćwieskich, zwały się więc u nas inaczej, niż na Rusi, gdzie nazwy Jaćwięgi (Jat’wingi). Jat’wiaz itp. spotyka się dość często.

Z ruskiej formy „Zlińci” można wnioskować, że polska nazwa brzmiała Żleńcy (może Zleńcy). Od niej urobiona nazwa krainy mogła brzmieć Żleńcza, a przy oddziaływaniu polskiego imiennictwa z pnia ziel-, także Zieleńcza. Wskutek oddziaływania podobnych nazw rodzimych nie można dziś rozstrzygnąć, co pierwotnie odnosiło się do Jaćwieży w szeregu takich nazw jak np.: Zielenice (wieś biskupstwa krakowskiego, u Długosza (Opera I, 417) Zyelenicze); Zieleniec, wieś. pow. nowomiński i węgrowski (Sł. Geogr. XIV. 592); Zieluń, wieś. pow. mławski; Zieleniewieże i Zielenica, wsie pow. wołkowyski; Zieleniew, wieś pow. łęczycki itp. (tamże XIV, 592 n. i 603 n.). Najbliższe dawnej nazwie etnicznej są Lence, wieś na północ od Białegostoku, przypuszczalnie z dawniejszego (Z)leńcy. W spisie poborowym z 1578 (Pawiński: Mazowsze, s. 85) zapisano wieś Zgliczyn Witowy (pow. raciański, dziś Zgliczyno) może z dawn. Zlenczyn i Zgleczewo (wieś, pow. nurski) z dawn. Zlenczewo, g wstawne jak w stp. zgłoba (złoba). *Selencia* Galla-Anonima jest więc latynizacją owoczesnej polskiej nazwy Żleńcza czy Zieleńcza, a zarazem najdawniej zapisaną, w Polsce niegdyś wyłącznie używaną nazwą na oznaczenie Jaćwieży.

Eugeniusz Kucharski

I. Za pierwotną wspólnotą językową Prusaków, Sudawitów i Jaćwieży oświadcza się najbardziej w tej mierze kompetentny badacz, dr Jerzy Gerullis w pracy: *Zur Sprache der Sadauer-Jatwinger*, Festschrift Adalbert Bezzenberger, Göttingen 1921, str. 44-51. Nie stoi to w sprzeczności z tym faktem, że część Jaćwieży sudawskiej uległa później lituanizacji: „Jaczwingorum reliquiae, quae se Lithuanis iunxerant” – jak to określa pod r. 1282 Długosz, *Opera omnia* XI, 462.

II. Petri de Dusburg: *Cronica terrae Prussiae*. Pars III. Scriptores rerum Prussicarum I, 505.

III. Tamże, 787.

IV. *Letopiś po Ipatskomu spisku*. Izd. archeograf. kom. St. Peterburg 1871, str. 552.

V. W czasie polsko-ruskiej wyprawy, prowadzonej przez ks. Daniłę w 1251 r., zjawił się przed nim poseł od „Zlińców“, starając się go nakłonić do porzucenia polskich sojuszników. Zlińcy bowiem, korzystając z pogotowia wojennego całego swego ludu, chcieli się rozprawić przede wszystkim ze swym bezpośrednim sąsiadem tj. Polakami. Daniło odmówił. *Letopis*, tamże pod r. 1251 (6759), str. 538.

[Tygodniowe sprawozdanie sytuacyjne wojewody białostockiego, nr 21 z 25 maja 1929 r.]

Dnia 19 bm. we wsi Jasienica powiatu ostrowskiego odbyło się zebranie członków Ochotniczej Straży Pożarnej, na którym wybrano Pasztaleńca Romana jako naczelnika na miejsce Żebrowskiego Mieczysława, skazanego w dniu 17 bm. na 1 rok więzienia za kradzież. Na następcę naczelnika powołano Goca Czesława.